

O pogrążonych w nałogu malusich Kurpiach, o latarniach magicznych w Czyżewie,
o zniechęceniu w Małkini

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Małkinia, wrzesień 1939 r.

Kuchnia polowa (niem. *Gulaschkannone*) Wehrmachtu wydaje posiłki miejscowej ludności.

Źródło: Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.

Pan Dominik Staszewski bierze dzisiaj pod lupę najmniejszych Kurpiów. Podobnie jak w przypadku tych większych obraz jest zatrważający. Już najmłodszy palą tytuń na potęgę i aby zdobyć pieniądze na nałóg, to z chałupy jakąś drobnostkę na sprzedaż wyniosą, to coś z furmanki stojącej pod kościołem zwędzą. I co z takiego ancymonka wyrośnie – koniokrad? Oto, do czego prowadzi palenie tytoniu.

Koło Polskiej Macierzy Szkolnej w Czyżewie sprawiło sobie magiczną latarnię z setką obrazków na szkiełkach do prześwietlania. Latarnia stanowi atrakcyjne urozmaicenie wieczornic literackich, na które ściągają tłumy. Bierzcie młodzi Kurpie przykład z czyżewskich junaków. Też byście sobie latarnię sprawili, gdybyście tytoniu nie palili.

Nie wiemy, co palą w Małkini, ale po odejściu proboszcza Leona Gościckiego do Goworowa sprawy nie idą tam najlepiej, a tak po prawdzie, to idą całkiem źle. Co z inicjatywy duchownego powstało, to po jego odejściu natychmiast zmarniało.

Pan Benedykt C., mieszkaniec miasta stołecznego Warszawy, przeczytał jakiś czas temu odpowiedź redakcji na list pewnego czytelnika. Redakcja udzieliła tam szeregu cennych porad dotyczących morskich podróży. Pan Benedykt jest pod wrażeniem naszej wiedzy o morzach oraz oceanach i zastanawia się, czy jesteśmy równie kompetentni w dziedzinie cieków wodnych zwanych rzekami. Każdego roku wylatuje bowiem do egzotycznych krain celem połowu ryb. W tym roku wybierał się na Borneo, ale po zapoznaniu się z naszymi wynurzeniami na temat ichtiologii, pomyślał sobie:

– A czemuż mam szukać ryb tak daleko, skoro mogę je mieć bardzo blisko, bo w Bugu.

Znakomity wybór Panie Benedykcie, gdyż nigdzie nie ma tylu ryb co u nas. Sami wprawdzie nie wędkujemy, ale przechadzając się nad brzegiem Buga, obserwujemy wielkie ławice ryb, tak połyskujących w słońcu, że bez ciemnych okularów można oślepnąć. Dawniej redaktor naczelny sporo pływał kajakiem, ale siły już nie te, a trudno wiosłować, gdy nurza się wiosło nie w wodzie, lecz w istnej rybnej masie. Biednych tych stworzeń jest w Bugu tyle, że wystawiają z wody pyszczki, z prośbą, aby je nakarmić, albo nawet złowić, obo tylko nie musiały żyć dłużej w tym mało komfortowym ścisiku. Zawsze należy mieć jakieś smakołyki w kieszeni, by wspomagać biedulki.

Naczelnicy lubi przejść się w sezonie po brokowskich barach, aby posłuchać wędkarskich opowieści. O tym, że ryb w Bugu jest obfitość, świadczy choćby fakt, że snute są tam gawędy, jakich gdzie indziej się nie usłyszy. Nie ma tu zuchów przechwalających się – Patrzcie i podziwiajcie, oto co złowiłem! – Wręcz przeciwnie, wszędzie tylko narzekania, że ktoś ponownie nadwerżył swe ramię. Długo walczył z rybą, wędka niebezpiecznie trzeszczała, ale w końcu wyciągnął rybę żywej wagi... gdzieś tak kilogramów czterdzieści – toż to niczym

warchlak i to całkiem spory. Takie kontuzje to u nas codzienność i nazywamy tę przypadłość „ramieniem wędkarza”.

Inny znowu powiada, że siedział nad wodą całe pół godziny, a wszystko, co złowił to raptem trzy szczupaki, dwa sumy i pół kopy płoci. Oczywiście nikt w takie bajdy nie wierzy. Pół godziny i tylko tyle! To z pewnością nie wędkarz z prawdziwego zdarzenia, ale romantyk, który zamiast patrzeć na spławik, rozkoszował się wszechobecnym, sielskim i poetycko nastrojającym, nadbużańskim krajobrazem.

Słuchamy tych opowieści od lat i możemy rzetelnie stwierdzić, co następuje. Mnogość ryb sprawia, że podczas, gdy gdzie indziej wędkarze swe sukcesy wyolbrzymiają, to nad Bugiem odwrotnie – pomniejszają. Tutaj bowiem dużo złowić to żadna sztuka i niejeden marzy, aby przyjść znad Buga z niczym – to byłaby dopiero sensacja. Całe miasteczko huczałoby od plotek, wszyscy by zachodzili w głowy, jak do tego doszło. Ostatni taki przypadek zdarzył się bodaj w roku 1964. Sprawa była na tyle frapująca i podejrzana, że rozpisywały się o niej gazety i zjechała do Broku komisja z powiatu. Fotografie bohatera, któremu przed ponad półwiekiem udało się w Bugu nic nie złowić, zdobią ściany tutejszych dobrych lokali.

Oczywiście, są tacy, co rozgłos lubią, ale większość wybrała przecież wędkarstwo dla rozkoszowania się świętym spokojem. Lepiej więc liczby złowionych ryb nadto nie zaniżać i panuje obyczaj, że redukuje się tę liczbę ledwie o połowę. Dajmy na to, że złowił ktoś przez dwie godziny ryb osiemdziesiąt, to twierdzi, że tylko czterdzieści. W ten sposób unika się zbędnych pytań i stawania przed komisją z powiatu. Rzecz jasna można od tej zasady odstąpić, gdy złowiono liczbę ryb nieparzystą – dajmy na to dziewięćdziesiąt trzy, bo trudno przecież twierdzić, że wyciągnęliśmy z wody czterdzieści sześć i pół. Dobrze więc radzimy, aby liczbę liczb złowionych ryb zaniżał Pan do najbliższej parzystej i dopiero wtedy dzielił przez dwa. Przyzna Pan, że to system prosty i na swój sposób genialny.

To bogactwo wodnej fauny sprawiło, że brokowiaka w smaźalni ryb prawie nie uświadczysz. Wszyscy mają alergię już na sam tylko zapach. Dawniej tuczili rybami świnie, ale teraz, to im nawet i wieprzowina rybą zalatuje – taki tu nad Bugiem dobrobyt! Czasami przytrafi się, że dziecko do lat pięciu rybkę zje, ale nigdy starsze. Zjeżdżali nad Bug przeróżni badacze i zachodzili w głowy, czemu lud tutejszy, pomimo iż ryb nie konsumuje, to bywa tak krzepki. Tajemnica tkwi w namiętnym spożywaniu grzybów, występujących w tutejszych borach w okrutnej mnogości, a jak mówi prastare kurpiowskie przysłowie: „Kto zje grzybka, ten zdrów jak rybka”.

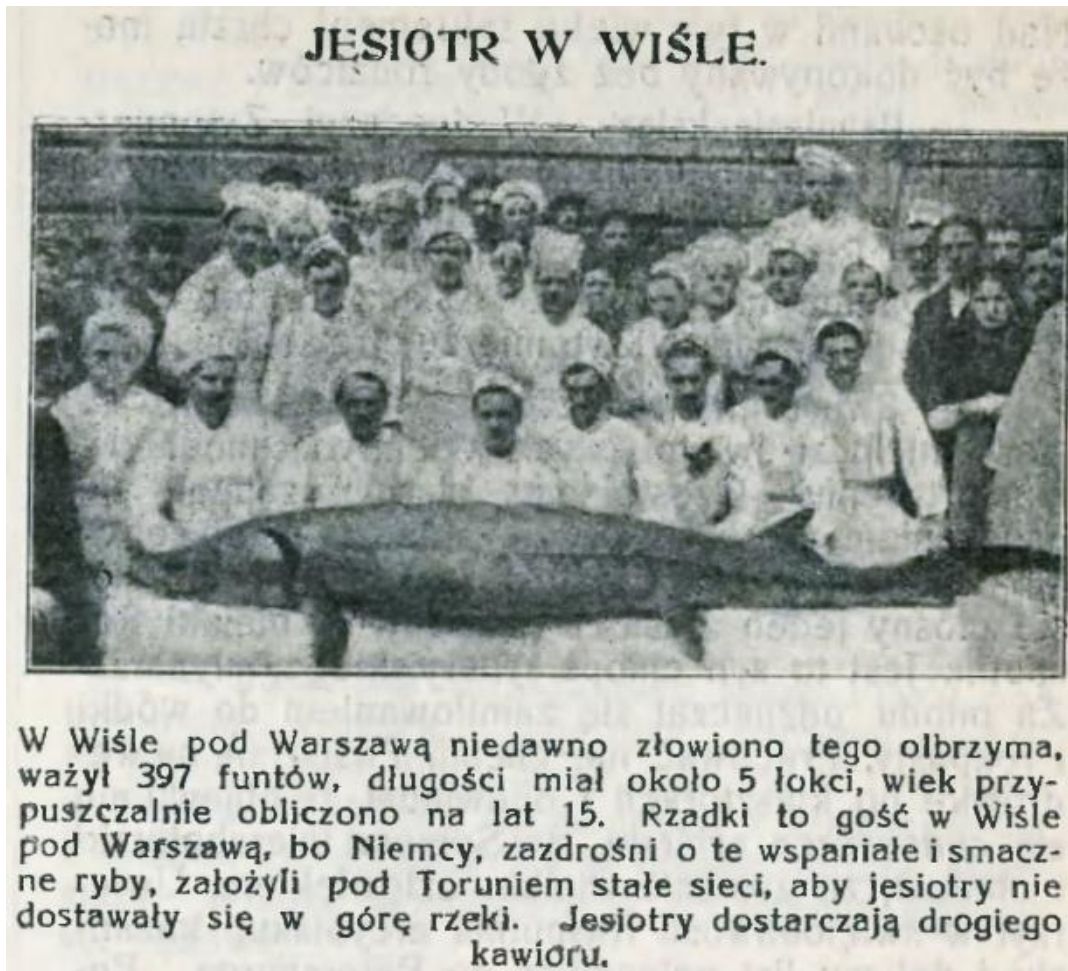
Bieda tylko z letnikami, bo przywożą ze sobą akwaria z egzotycznymi stworami i zdarza się, że jakiś zapragnie swobody i śmignie do Buga. Później wyciąga się z wody przeróżne dziwolągi. Przychodzi ktoś do baru z czymś takim i mówi:

– Łowiłem za mostem, tak będzie ze trzysta metrów na lewo i patrzcie, co wyciągnąłem na muchę. Obiecałem żonie, że wyskoczę na kilka minut i przyniosę szczupaka, a tu takie straszdyło i jeszcze mi pół wędki użarło.

– No, no nieliche to coś... za mostem Pan mówi, na lewo? – pytają smakosze, odrywając na moment usta od kufli z piwem. – Widać, żeś Pan przyjezdny, bo miejscowy nawet się tam do rzeki nie zbliży, po tym, jak Maliniak chciał jałówkę napić, a tę hyc, coś ułapiło, do wody wciągnęło, beknięło, parsknęło i tylko kości na brzeg wypluło.

W każdym brokowskim barze są dostępne atlasy z wizerunkami egzotycznych ryb, a ludzie oglądają dziwadła, porównują i zgadują czy to, co złowili, to właśnie to coś, co widać na obrazku. Niektóre egzotyczne osobniki wchodzą niestety w związek uczuciowo-płciowy z naszymi podlasko-mazowieckimi rybami i powstaje kreatura, której nie sposób rozpoznać. Wiele osób nudzą już te niekończące się ichtiologiczne dysputy. Bar to przecież nie akademii, tu należy o czym innym rozprawiać, nie zawadzi się nawet poswarzyć i powyzywać, a gdy od czasu do czasu dojdzie do drobnych rękoczynów, to też nie zaszkodzi, a nawet uatrakcyjni sielską wprawdzie, ale i nieco senną codzienność.

Zbliża się maj, a więc najlepszy czas na połów jesiotrów, a połów zapowiada się dobry, gdyż podług miejscowej tradycji, szczególnie dużo jesiotrów płynie w górę Buga w latach z trójką na końcu. Lojalnie jednak ostrzegamy, że obecnie, to nie to, co dawniej, więc trudno o okazy ponad pięciometrowe i półtonowe. Zwykle trzeba się zadowolić dwu- lub trzymetrowym maleństwem. Tu akurat jest pewien kłopot, bo miejscowi, pomimo iż czują awersję do ryb, to w kawiorze strasznie są rozmiłowani, a że wstają na połów wcześniej – nawet o szóstej rano – to musi Pan być nad rzeką o najpóźniej o piątej (liczonej podług czasu letniego).



Jesiotr złowiony w pod Warszawą w lipcu 1914 r.¹

¹ „Zorza” nr 31 z 30 lipca 1914 r.

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW

(Dalszy ciąg)

Otóż za najwcześniejszą demoralizację dzieci w ludzie wiejskim uważam bezwarunkowo nie zabranianie dzieciom palenia tytoniu, do którego one biorą się bardzo wcześnie, nawet znacznie wcześniej, niż im przez myśl przejdzie jakakolwiek płciowość. Pomijam tu kwestię szkodliwości tytoniu dla ich młodych organizmów i przyzwyczajania się do szkodliwego na całe życie nałogu, gdyż w moralnym znaczeniu niezmiernie donioślejszą kwestję stanowi – źródło, skąd biorą one na ów tytuń. Wziąć go starszym rzadko się uda, gdy i ojcowie kupują go po trochu, zresztą dobrze go pilnują. Trzeba więc nań pieniędzy, których nie mogą mieć skądinąd i nie mają, jak tylko ze sprzedaży zboża, drobiu, nabiału i innych przedmiotów i drobiazgów, jakie wynoszą z osady i sprzedają w różnych sklepikach i „pozastodołu”. W miarę wzrostu wieku i potrzeb dziecka w ślad za owym handlem zjawia się duży „rozkurz” mąki w młynach przez młynarczyków, wybierania ryb z żaków rybakom przez pastuszków na rzece, odcinanie dzwonek od sanek przed kościołem i różne inne „rzemyki”, które niejednego w następstwie i do „koników” doprowadzają. Ze względu więc na ów pierwszy i najwcześniejszy „rzemyk” w życiu dziecka – palenie tytoniu przez dzieci, należałoby wprost tępić, a nawet wyjednać zakaz sprzedaży tytoniu dzieciom do pewnego wieku, jak to ma miejsce ze spirytusem.

Tymczasem lud wiejski nie tylko, że wcale nie wzbrania dzieciom palenia tytoniu, ale niejednego ojca to bawi i nie zastanawia się zupełnie nad tem, skąd dzieciak bierze pieniądze na tytuń? Jeśli który gorliwy gospodarz i zapyta go o to, to najczęściej dzieciak go okłamie, że dostał od kogo za jaką drobną usługę, jak np. otwarcie kołowrotu, wypędzenie bydła ze szkody, przyniesienie czegośkolwiek itp. I ojciec w zupełności się zadawalnia tym tłumaczeniem. Tytuń więc często doprowadza dzieci i do kłamstwa, tej jednej z najbrzydszych wad ludzkich i przyczyny wielu innych. Tym sposobem palenie tytoniu samo przez się dość niewinne, wywiera niezmiernie doniosły, a ujemny wpływ na późniejsze życie człowieka jako pierwszy krok stawiany w zupełnej nieświadomości i z tego względu powinno być jak najsurowiej wzbronione i tępione.

Nie jest to rzeczą tak trudną, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało, gdyż dzieci, zwłaszcza we wczesnym dzieciństwie robią to nie tyle z naśladownictwa starszych, ile jedne drugich i jedni przez drugich wciągani. Gdyby więc tylko rodzice i w ogóle starsi przeświadczyli się i zrozumieli dobrze, jak zgubnym jest to niewinne na pozór palenie tytoniu przez ich dzieci, i ile sami na tym tracą, co by im zresztą najbardziej trafiło do przekonania, jako na kieszeń najczulszych, bez wątpienia zdołaliby wszędzie i zawsze tępić ten nałóg. Dla tem skuteczniejszego „trafienia do ich przekonania” nie od rzeczy byłoby i wielce skutecznym wyjednanie wprost kar za tolerowanie tego złego w dzieciach o ile by się im udowodniło świadomość ich o nim. Naturalnie, że niejedno dziecko i nieraz zdołałoby uniknąć i

najsurowszego dozoru pod tym względem, w każdym razie, nadto przy zakazie sprzedaży tytoniu dzieciom, palenie go przez dzieci byłoby tylko wyjątkiem i nie stanowiło ogólnego objawu, co z czasem musiałyby doprowadzić do zupełnego zaniechania, gdyż jak mówiłem, drobne dzieci naśladują w tym nie tyle starszych, ile jedne drugie, byłoby więc coraz mniej wciągaczów.

Najpierwszym tedy i najważniejszym krokiem na tej drodze jest zrozumienie i przejęcie się ważnością kwestji przez starszych. Tu znów może jedyną przeszkodą, zwłaszcza nie tyle do zrozumienia, ile już do samego tępienia nałogu niewątpliwie będzie konserwatyzm chłopski i oglądanie się na drugich. – „Ech, tak było, inni tak robią” i niejeden ojciec wprost leniwi się zacząć. Należy jednak tem się nie zrażać, gdyż jak wiadomo we wszystkim najgorszy, aby początek, w przyszłości więc może się okazać i bez wątpienia się okaże, że idzie to coraz łatwiej, zresztą każda zdobycz na tym polu już sama przez się będzie dużym zyskiem.

(C. d. n.)

Dominik Staszewski

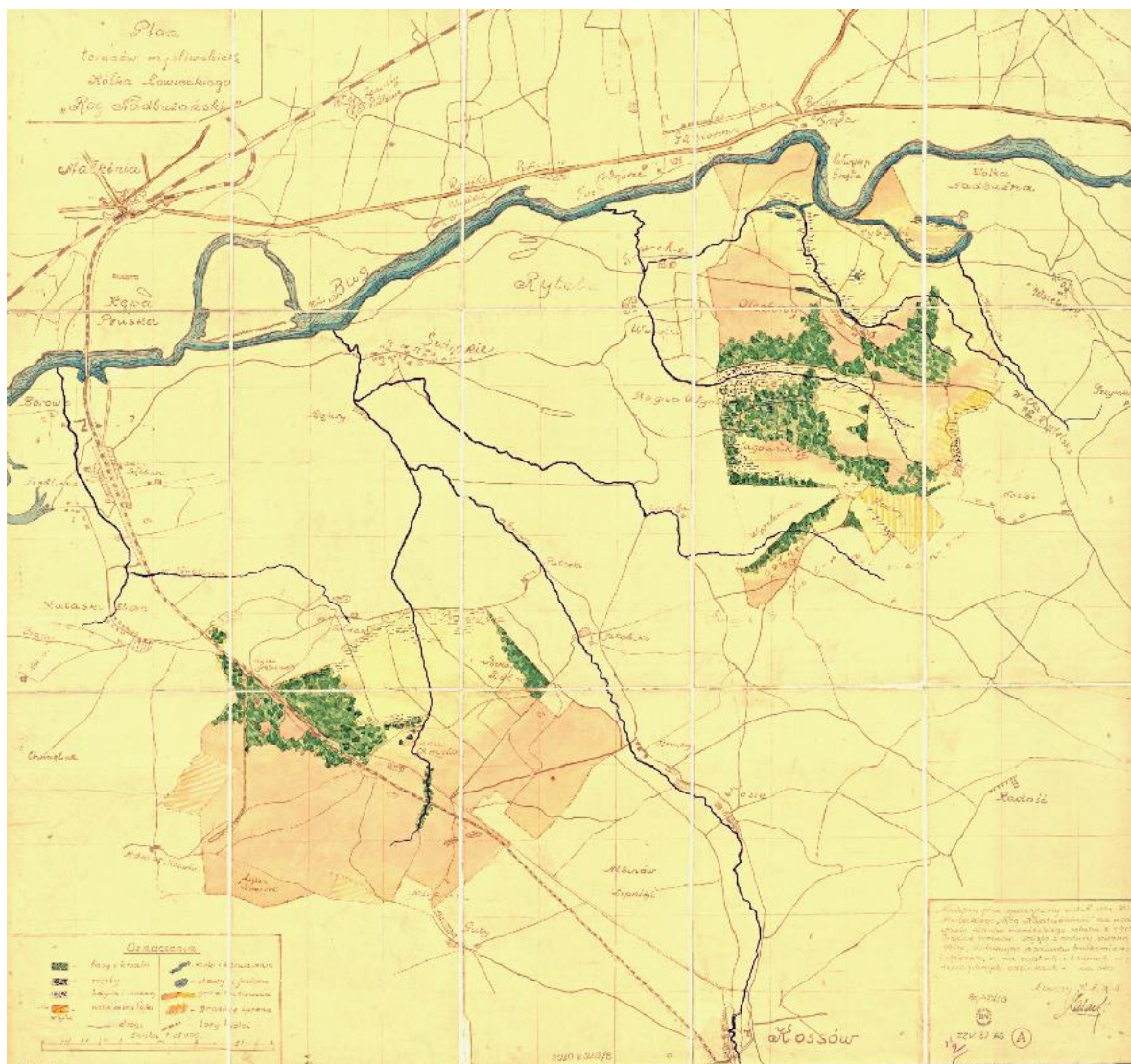
[„Gazeta Świąteczna” nr 17 (1891) z 29 kwietnia 1917 r.]

Z Czyżewa, miasteczka w stronach łomżyńskich piszą do nas:

Wiadomości z różnych zakątków kraju, drukowane w Gazecie Świątecznej, świadczą, że naród nasz stara się nie tylko o polepszenie swego bytu, ale i o duchowe udoskonalenie. Wszędzie widzimy troskę o szkoły, o krzewienie czytelnictwa oraz nauki czytania i pisania wśród starszych, którzy dotychczas pozostawali w ciemnocie. Niejednego zachęca to do czytania nie tylko Gazet Świątecznej, ale i książek, o które teraz na wsi łatwiej, i do uczęszczania na pogadanki pouczające, nieraz już po wsiach urządzone. Młodzież wiejska nawet sama zakłada kółka oświatowe i urządza wspólne ze starszymi głośnie czytania. Pożytek stąd duży i rozrywka miła, a dla dzieci dobry przykład. W naszej parafji praca oświatowa postąpiła też naprzód. Z założonej przy kole Macierzy przed sześciu miesiącami księżnicy korzysta obecnie sto osób. Liczba gazet sprowadzanych do nas ciągle się powiększa. Od Nowego Roku odbywają się w Czyżewie w każdą niedzielę w godzinach wieczornych wykłady z historii świętej, dziejów Polski i geografji, a nadto głośnie czytania powieści Sienkiewicza. Wieczornice te ściągają bardzo licznych słuchaczy, zwłaszcza, że opowiadania z dziejów połączone są z pokazem ciekawych obrazów przy pomocy odpowiednio urządzonej latarni. Latarnię taką ma koło Macierzy własną z setką prawie przezroczy czyli obrazków malowanych na płytkach szklanych do prześwietlania. Dwie panie i ksiądz wikary poświęcają wolne chwile na prowadzenie pogadanek. W połowie stycznia koło Macierzy urządziło bezpłatne wykłady dla nieumiejących czytać, albo pisać. Odbywały się one trzy razy tygodniowo i trwały do dnia 1-kwietnia. Korzystało z nich z początku 35, później 20 osób. Z podziwem i radością patrzyliśmy na zapał, z jakim starsi, od 16 do 25 lat, brali się do książki. Znaczna część uczących się nie znała liter, inni umieli tylko czytać. Uczylł tutejszy nauczyciel, za co z kasy Macierzy otrzymywał 20 rubli miesięcznie. Postępy w nauce były zadziwiające. W ciągu lutego i marca panie z Czyżewa uczyły się dwa razy na tydzień robótek ręcznych. Działalność naszego koła Macierzy rozciąga się nie tylko na sam Czyżew. W okolicznych szkołach i w niektórych większych wioskach

odbywają się prawie co miesiąc opowiadania z dziejów przy użyciu latarni do pokazywania obrazków. Zaciekawienie jest niezwykle, a wdzięczność dla kierowników wielka. – Parafia Czyżewska ma własny dom z dużą salą do przedstawień teatralnych, wybudowany przed trzema laty staraniem księdza proboszcza na placu kościelnym. W domu parafjalnym stale mieści się ochronka dla ubogich dzieci, prowadzona pod opieką Macierzy. Sala teatralna służy do wszelkich zgromadzeń, a podczas świąt uroczystych urządzone tam bywają przedstawienia. Ostatnie przedstawienie odbyło się grudniu na cele narodowe pod kierunkiem młodego aptekarza, a podczas świąt Bożego Narodzenia koło Macierzy urządziło przedstawienie dziecięce, które powtórzono cztery razy.

Czytelnik Gazety Świątecznej



Plan terenów myśliwskich międzywojennego Kółka Łowieckiego „Róg Nadbużański” z siedzibą w Warszawie przy ul. Wspólnej 10. Granice terenów „zdjęto z natury” wiosną 1931 r.

Źródło: Biblioteka Narodowa POLONA, sygn. ZZK 52 366 A

LISTY DO GAZETY ŚWIĄTECZNEJ.

Z Małkini w powiecie ostrowskim.

U zbiegu trzech ziem. – Mieszana ludność. – Proboszcz i jego dzieła. – Ich upadek. – Zubożenie powojenne i ogólne pogorszenie. – Klęska gradowa. – Wczoraj rozrzutność, dziś bieda. – Brak ludzi do pracy społecznej. – Brak gotowizny. – Stowarzyszenie młodzieży i straż ochotnicza. – Czytelnictwo.

Miasteczko Małkinia leży nad rzeką Bugiem, gdzie styka się ziemia Mazowiecka z Podlasiem i dawną puszcza Brokowską, na skrzyżowaniu dwóch dróg żelaznych. Jedna z nich prowadzi z Warszawy do Wilna, a druga z Siedlec do Ostrołki. Jest tu więc duża, węzłowa stacja kolejowa.

Do parafji i gminy Małkińskiej należy kilka wiosek kurpiowskich, kilka – mazurskich i kilka zaścianków zagonowej szlachty podlaskiej.

Może z tego powodu, że ludność tu jest tak niejednolita, praca społeczna u nas idzie tak ospale i żyjemy jakby w kącie zabitym deskami, choć mieszkamy niespełna 80 kilometrów (czyli niecałe 11 mil) od Warszawy.

Parafję Małkińską założono na kilka lat przed wojną. Pierwszym proboszczem był ks. Gościcki. Umiał on tenąć ducha w uspionych i pobudzić ich do pracy społecznej. Wnet zbudowano w Małkini piękny kościół, plebanję i dom parafjalny, założono kółko rolnicze i kasę spółdzielczą. Rozwijało się też czytelnictwo, choć to były czasy niewoli i wojny.

Kółko rolnicze oddawało wtedy rolnikom duże usługi, a kasa spółdzielcza miała z wkładów oszczędnościowych tyle pieniędzy, że ich na miejscu rozpozyczyć nie mogła.

Po przeniesieniu ks. Gościckiego do Goworowa kółko rolnicze upadło. Narzędzia rolnicze, jakie kółko nabyło dla swych członków, pozostawione bez opieki niszczały i zaginęły, a kasa spółdzielcza wskutek spadku wartości marki polskiej utraciła cały znaczny zapas gotowizny, który stopniał zupełnie; to też liczne oszczędności, złożone w kasie, przepadły.

W porównaniu z przeszłością bardzo się u nas pogorszyło. Ludność i tak niezamożna – bo grunty tu liche – wskutek przejść wojny światowej i bolszewickiej zubożała zupełnie i odczuwa ciężar biedy dzisiejszej dotkliwiej może, niż w niektórych innych okolicach.

Na domiar złego nawiedziła nas w tym roku klęska gradobicia, która wielu rolnikom zniszczyła zbiory doszczętnie. Nie ma ziarna do siewu, nie ma czym płacić długów i podatków.

Kilka lat temu szastano bezmyślnie pieniędzmi, pożyczano rolnikom tysiące na rzeczy często zbyteczne, wskutek czego niejedni zabrnął w długi po uszy; a za to dziś, gdy z powodu gradobicia niejedni rolnik nie ma co jeść i czym siać, – nie ma pieniędzy na jakąś zapomogę, lub niewielką chociaż pożyczkę. Przeciwnie, – jakby nic złego nie zaszło, – gmina żąda pożyczek, a kasy i nadleśnictwa gnębią ludzi nakazami płatniczymi i komornikiem.

To też wraz z biedą ogarnęło tutejszych rolników zniechęcenie do wspólnej pracy i każdy w pojedynkę stara się zagadki życiowe rozwiązywać.

Brak tu ludzi zdolnych i chętnych do pracy społecznej. Każdy myśli tylko o sobie. Kółko rolnicze w Małkini nie daje najmniejszego znaku życia, a Kasa Stefczyka, która powstała przed kilku laty, cierpi wielki brak gotowizny i nie może przyjść z pomocą poszkodowanym wskutek gradobicia, bo ani w głównej kasie pożyczki uzyskać nie może, ani od miejscowej ludności oszczędności nie zbiera, bo ludzie są na ogół biedni. Ci zaś, co mają trochę pieniędzy, nie dowierzają kasie i składają pieniądze w Pocztovej Kasie Oszczędnościowej. Ale pieniądze złożone w miejscowej kasie idą na ratowanie rolników, a z pieniędzy złożonych na poczcie korzysta tylko wielki przemysł i handel, lecz nigdy nie rolnictwo.

Istnieje tu również Stowarzyszenie młodzieży polskiej i ochotnicza straż ogniowa; działają one wyłącznie wśród młodzieży, a celem ich jest działalność towarzysko-wychowawcza i rozrywkowa; na poprawę bytu drobnych rolników nie mają one żadnego wpływu.

Czytelnictwo jest tu mało rozpowszechnione, a przecież dobra gazeta, to najskuteczniejsze lekarstwo na biedę. Można przejść niejedną wieś i nie spotkać tam żadnej gazety. A w dzisiejszych czasach nic nie czytać, nie chcieć wiedzieć, co się wkoło nas dzieje, to tak, jakby ktoś na widok płonącego domu schował głowę pod poduszkę, zamiast brać się do ratunku.

Niechby więc z powodu rozpoczynającej się zimy z długimi wieczorami, czytelnicy Gazety Świątecznej wzięli się do jednania nowych czytelników, przysparzając krajowi w ten sposób światłych rolników. Od tego właśnie musimy zacząć pracę nad podniesieniem oświaty i zamożności.

Jan Motyka.